

## XXIII NIEDZIELA ZWYKŁA, ROK A.

### **Dlaczego nie lubimy miłości?**

Z żywota Św. Franciszka z Asyżu znana jest opowieść o tym, jak zalewał się on rzewnymi łzami i wołał głośno z wielkim bólem serca, że Miłość nie jest kochana. Myślał oczywiście o relacji pomiędzy ludźmi a Panem Bogiem. Miłość Boża nie jest kochana i nie jest nawet lubiana. To zaskakujące, ale prawdziwe.

Znam wiele osób, które proszą Boga o dar miłości, o doświadczenie Bożej miłości dla swojego serca, a potem dziwią się, że jest im jakoś trudniej, że w życiu mają ciągle „pod górkę” i to jakby coraz bardziej stromo. Można by odpowiedzieć parafrazując słowa Pana Jezusa: *„nie wiecie o co prosicie, chociaż błogosławieni jesteście, którzy łakniecie i pragniecie sprawiedliwości, albowiem będziecie nasyceni”*.

Wydaje się nam bowiem, a jest to w naszych umysłach skutek zakłamania spowodowanego przez grzech pierworodny, że mamy kochać Boga i siebie nawzajem po to, aby „było nam dobrze”. Szczególnie ze strony tych, którzy deklarują miłość wobec nas, a więc i Pana Boga, spodziewamy się i oczekujemy, że skoro kochają, to będzie nam dobrze, coraz lepiej. Tymczasem miłość jest po to abyśmy nie tyle „mieli się dobrze”, co „stawali się dobrymi”, a jest to istotna różnica.

Krótko i dobitnie ukazują to słowa miłującego Boga skierowane do Izraela, którego uznawał za swoją oblubienicę: „Bądźcie świętymi, bo Ja jestem święty, Pan, Bóg wasz!” (Kpł 19,2). Celem miłości jest uczynić oblubienicę piękną i doskonałą, bo tylko będąc taką, może być szczęśliwą u boku doskonałego i świętego Boga. I tu od razu trzeba rozróżnić dwa często mylone stany: nie „zadowolona”, czy „usatysfakcjonowana” lecz „szczęśliwą”, a dokładniej rzecz ujmując błogosławioną, świętą. W przeciwnym wypadku, oblubienica w swej hańbie grzechu stojąc przy swym przeczystym i doskonałym Oblubieńcu czuła by się poniżoną i zawstydzoną. Dlatego Bóg w imię jej prawdziwego szczęścia domaga się świętości swego ludu.

My nie lubimy jednak, gdy ktoś wymaga od nas świętości, prawda? Ten stan „nielubienia świętości” mamy w sobie jako spuściznę po grzechu pierworodnym. Świętość jest trudna, może

po ludzku zbyt trudna. A my - ludzie cywilizacji komfortu - nie lubimy się trudzić.

Dlatego też i w starożytności nie byli lubiani prorocy Pana Boga, których On posyłał, aby w imię Jego miłości upominali Izrael. Prorocy pozostawali w dość tragicznym położeniu: głosząc Słowo Boże narażali się ludziom, nie głosząc Słowa Bożego, narażali się Bogu, czego świadectwo daje dzisiejsze pierwsze czytanie. Silniejszy był jednak ten „wewnętrzny imperatyw miłości”, który znamy już z rozważania Słowa Bożego z poprzedniej Niedzieli. Oni nie mogli nie głosić. Nie mogli nie kochać.

Jezus Chrystus był i jest nieskończoną wcieloną Miłością Ojca. Tę miłość przelał w umysły i serca swoich uczniów, zobowiązując się, że w imię tej miłości otrzymają wszystko, o co poproszą. Zrozummy dokładnie - w imię Jego miłości. Tu nie chodzi o „prezenty” dające satysfakcję, przyjemność, korzyść. Tu chodzi o dar, który może uczynić człowieka dobrym, doskonałym i wreszcie świętym. Takiej prośbie Bóg nie może odmówić. Problem polega na tym, że ludzie wolą satysfakcję grzechu niż sprawiedliwość miłości Bożej.

Stąd też taka dość często spotykana postawa, przepraszam za kolokwializm, „pogrywania sobie z Panem Bogiem” w „grę” przez ludzi nazywaną miłosierdziem, po ludzku niestety fałszywie rozumianym. Chodzi o zachowanie, w którym oczekujemy nieustannego przebaczenia w imię Bożego miłosierdzia, nie przyjmując jednocześnie napomnienia, czyli wezwania do nawrócenia. Podobnie, łatwiej jest przyzwyczać się do wad swoich i współmałżonka, niż napominając się wzajemnie domagać się prawdziwej miłości. Tymczasem Boże miłosierdzie ma prowadzić do miłości. Przebaczenie do usprawiedliwienia, czyli do świętości. Konieczne jest tu zatem napomnienie braterskie i nasze nawrócenie, chociaż odrobinę, ale za każdym razem, i w małżeństwie po każdej sprawiedliwej kłótni i gdy odchodzimy po spowiedzi od konfesjonału.

Piękne jest to, co napisał nam dziś Święty Paweł: „Nikommu nie bądźcie nic dłużni poza wzajemną miłością” (Rz 13,8). Na mocy tych słów żona powinna domagać się miłości od swojego męża, a mąż od swojej żony, wierni od swoich kapłanów, a kapłani od wiernych. Kiedyż wreszcie zaczniemy prawdziwie kochać!?! Tylko uważajmy – nie chodzi o satysfakcję, przyjemność i korzyści, lecz troskę o uświęcenie. Jeśli umawiamy się wzajemnie, że chodzi

nam o Bożą miłość, zgadzamy się na wspólna „drogę pod górkę”, czasami dość stromą.

Małżeństwo oparte na sakramencie, podobnie jak i kapłaństwo sakramentalne, jest doświadczeniem w rodzaju „mission impossible” miłości: fantastycznie niemożliwe i dlatego nieprawdopodobnie piękne i prawdziwe. Szczyty na tej „drodze pod górkę” zdobywają szaleńcy Boży w rodzaju Świętego Franciszka.

Jak to nam śpiewał kiedyś Edward Stachura?

...

*Jeszcze zdążymy naszą miłością siebie zachwycić  
Siebie zachwycić i wszystko w krąg  
Wojna to będzie straszna, bo czas nas będzie chciał zniszczyć,  
Lecz nam się uda zachwycić go.*

*Jest już za późno!  
Nie jest za późno!  
Jest już za późno!  
Nie jest za późno!*